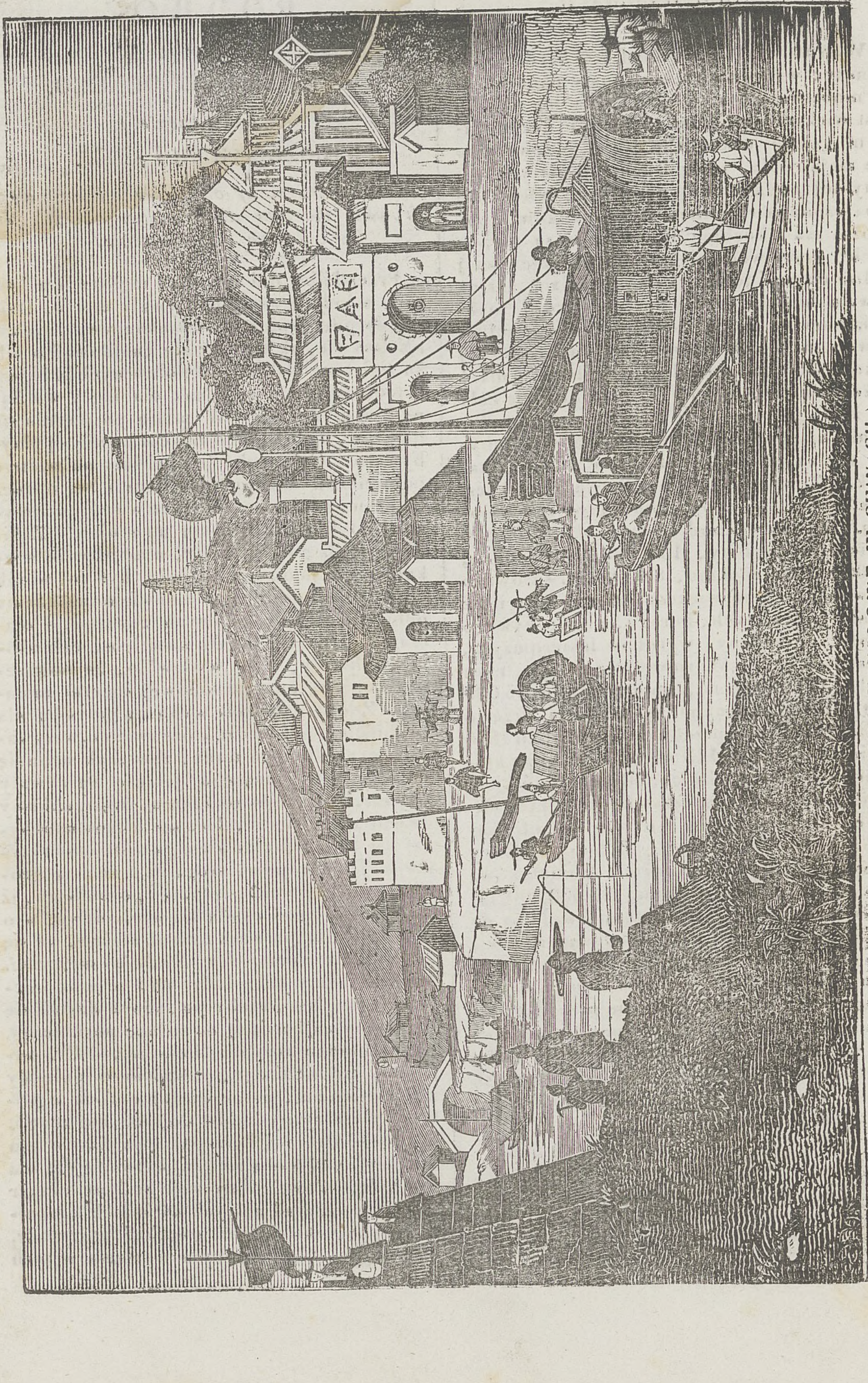
№ 50 (Rok Piąty.) MAGAZYN POWSZECHNY. (Drugie Półrocze 1838.)



(STANOWISKO HANDLOWE W CHINACH.)

HANDEL W CHINACH.

Wewnętrzny Chin handel, jest bardzo znakomity; wszystkie rzeki i kanały napełnione są mnóstwem statków, a liczba ich daleko jest większa aniżeli na najbardziéj uczęszczanym kanale w Anglii. Statki przewozowe nie mają rudla, i są postaci półksiężycowéj; w tylnéj podniesionéj ich części, mieści się izba kapitana i pomieszkanie majtków, podróżni zaś i kuchnie umieszczone są na bokach; przeciwko biegowi rzeki najczęściéj ludzie ciągnąć je muszą, na kanałach zaś używają machin. Chińczycy bardzo mało świadomi są nauki żeglarskiéj, a pomimo dawno już u nich znajoméj igły magnesowéj (około 300 lat przed Chr.) bardzo mało w żeglarstwie postąpili, i do dziś dnia cała ich żegluga kończy się na samém tylko opływaniu brzegów. Lądowy zaś handel, odbywa się za pomocą wielbłądów lub też taczek. Zewnętrzny tego państwa handel jest za szczupły, w porównaniu z jego obszernością. Z Chin wychodzi rocznie około 400,000 centnarów herbaty, 130,000 cent. cukru, 21,000 sztuk nankinu, 8,000 cent. surowego jedwabiu, nadto większa lub mniejsza ilość tkanin jedwabnych, boraxu, ałunu, żywego srebra, porcellany, wyrobów lakierniczych, rubarbaru i t. p. Wprowadzają zaś tu, ryżu około 320,000 cent., opium blisko 35,000 cent., bawełnę, sukna, szkło, futra, drzewo sandałowe i inne przedmioty. W roku 1806 zawinęło do Chin 113 okrętów, między któremi było 80 angielskich, 30 amerykańskich, i 3 duńskie; od tego czasu liczba przybywających statków urosła i okręta innych krajów zwiedzać je zaczęły. Billans handlowy jednakże przeważa na stronę Chińczyków, w ilości corocznie najmniéj 13,000,000 talarów wynoszącéj, która częścią wpływa do skarbu cesarskiego, częścią u mandarynów i kupców pozostaje; pomimo to jednak srebrna i złota moneta rzadko w obiegu się postrzega. Główny handel idzie przez Kanton i Makao. Cło od przywożonych towarów jest nader wysokie, i nierzadko jeden tylko okręt około 60,000 talarów opłacić go musi. Lądem prowadzą Chiny handel z niektórymi ludami Azyi i Rossyą.

PODRÓŻ
DO
BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

(Zakończenie.)

ROZDZIAŁ XII i ostatni.

Okręt zatrzymany od lodów. Piesza wędrówka morzem do Szpicbergu. Niespodziane oswobodzenie.

Przez kilka dni czas był mglisty i wilgotny, a lody zewsząd pokrywały morze. Dnia 10 sierpnia zrobiwszy obserwacye, przekonaliśmy się, iż musimy się znajdować o kilka mil (angielskich) od północnych brzegów Szpicbergu, które jednak dla mgły widziane być niemogły. W miarę posuwania się naszego, lodów około nas coraz więcéj przybywało. Całą nadzieję mieliśmy na wietrze południowo-wschodnim, lecz i ten oprócz deszczu ze śniegiem, nic nam więcéj nieprzyniósł i tylko pracę naszą utrudniał. Zabiliśmy jednego wieloryba, a majtkowie w okół niego podniecili ogień; był to widok prawdziwie osobliwy, albowiem płomienie odbijając od gór lodowych zewsząd je otaczających, tak mocném światłem, całą okolicę oblewały, iż się wydawało, że powszechny pożar, miejsce lodowéj śmierci zastąpił. Zdobycz ta była wyborną przynętą dla zwabienia niedźwiedzi, które zwietrzywszy zapach przypalonego tranu, zewszech stron się schodziły i płonącego jeszcze rozrywały zwierza. Przytém zdarzeniu, zastrzeliliśmy dwóch niedźwiedzi, lecz nie można nam było ich zabrać, albowiem pozostali towarzysze wyjąc okropnie, srogą nam zemstą grozili. W dniu 12 sierpnia poznaliśmy, iż lody uniosły nas z sobą ku wschodowi, a o północy, Slapperwack nam obwieścił, że się znajdujemy pomiędzy *Siedmią-wyspami.* Wyprawiliśmy kilku ludzi pod przewodnictwem Douglasa, ażeby po lodach dostali się do wyspy najbardziéj na północ posunionéj, i z jéj brzegu rozpoznali okolicę. Ci, odbywszy trudną drogę, powrócili o północy z doniesieniem, iż nic więcéj oprócz ogromnéj płaszczyzny lodów dojrzéć nie mogli. Myśl o konieczności przepędzenia zimy w tém miejscu, nad samą śmierć okropniéjszą dla nas była. Powzięliśmy więc szalony zamiar doświadczenia sił naszych na lodach nas otaczających, które już naciskać zaczynały. Pierwszém staraniem było wycięcie w tych

skrzepłych massach odpowiedniéj kotliny, w któréjby nasz okręt na czas jakiś był zabezpieczony; późniéj przystąpiliśmy do przerznięcia kanału, który miał nas na otwarte wyprowadzić morze. Każdy z naszych ludzi pracował z zapałem i dobrą myślą; piły do lodów, siekiery, drągi, sanie, słowem wszystkie żeglarskie narzędzia w nadzwyczajnym ruchu zostawały. Lecz pokonawszy bryły lodu około łokcia mające grubości, natrafiliśmy na inne, kilka i kilkanaście nawet sążni grube, którychby żadna siła ludzka pokonać nie zdołała. Straciwszy więc nadzieję wykonania naszego zamiaru, powzięliśmy inny, który więcéj powodzenia nam obiecywał, chociaż nie zdawał się być tak trudnym jak piérwszy.

Jednogłośnie zgodziliśmy się, iż z niebezpieczeństwem nawet życia naszego, zimować tu nie będziemy. Nowym naszym zamiarem było, zabranie odzieży i lekkich a ciepłych kołder na małe nasze statki, któreśmy ciągnąć mieli aż do żeglownego morza. Co jeśliby się nam udało, spodziewaliśmy się za pomocą żagli i wioseł, dosięgnąć północnéj przystani Szpicbergu w czas jeszcze, ażeby zapewnić sobie powrót na jakim statku, na połów wielorybów wysłanym.

Dnia następnego spuściliśmy na lód barki nasze, i opatrzyliśmy je we wszelkiego rodzaju przykrycia, któreby od zimna nas ochraniały. Przez dzień cały piekliśmy ryby na drogę. Rozdano majtkom torby napełnione sucharami, których ilość na dni 25 wystarczyć mogła; do sań zaprzężonych psami, włożono inną żywność i narzędzia matematyczne. Podczas tych przygotowań, kapitan Slapperwack z jednym majtkiem wyszli na obejrzenie naszéj drogi; ten powróciwszy bardzo późno uwiadomił nas, iż dostrzegł wodę w stronie zachodniéj, w odległości mil dziesięciu, i że na drodze znalazł mnóstwo pływającego drzewa w przerwach lodowych, które mogłoby nam posłużyć do opału podczas zimowania na Szpicbergu. Ukończywszy przyrządzenia, udaliśmy się do spoczynku, ażeby wcześnie nazajutrz rozpocząć naszą pracę. O szóstéj godzinie już wszyscy byli gotowi, wyjąwszy Douglasa; poszedłem do niego i zastałem go zatrudnionego goleniem brody. —Czyż można myśléć Douglasie o swéj brodzie, w chwili powszechnéj trwogi?—On zaś odbywając swe zatrudnienie, odpowiedział: dlaczegóż mamy się trwożyć w podobnych wypadkach; może w przyszłym tygodniu do ogolenia się nie będę miał czasu. Mówiąc szczerze, dziwi mię obawa, która tak mocno was przejmuje, iż odważacie się opuścić okręt wtenczas, kiedy 24 godzin czasu, mogą go wyprawić na odkryte morze. Co do mnie, postanowiłem zostać na nim, i po złamaniu się lodów, przybyć abym was zabrał; jeżeli zaś to nie nastąpi, wówczas spodziewam się, iż los mój nie będzie gorszy od waszéj wyprawy wśród kaczek albo raczéj niedźwiedzi, którą tak śmiało przedsiębierzecie. —Te uwagi zdały mi się tak sprawiedliwe, iż poszedłem na pokład dla udzielenia ich kapitanowi; trzech ludzi oświadczyło chęć pozostania z Douglasem, ażeby w przyjaznym wypadku mogli mu dopomagać w sterowaniu okrętem. Zmuszeni poprzestać na téj odzieży, którąśmy tylko na siebie włożyć mogli, przywdzieliśmy nasze flanelle i czapki futrzane, a dla lepszego podzielania wspólnego losu, wszyscyśmy wzięli ubiór jednakowy.

W téj osobliwszéj wyprawie, wszyscy byli zajęci; jedni zaprzęgłszy się, ciągnęli statki; drudzy je popychali, inni zaś idąc przodem torowali drogę. Sanie, które psy ciągnęły, daleko pospieszniéj od nas postępowały; my zaś w przeciągu sześciu godzin zaledwie milę zrobiliśmy drogi; w téj odległości zatrzymaliśmy się dla spoczynku i posiłku. Rozniecilismy ognisko przy pomocy pływających sztuk drzewa, i jużeśmy zamierzali przyrządzać pieczyste z niedźwiedzia, gdy przybyli trzej towarzysze Douglasa, przynosząc soloną wołowinę i zupę gorącą. Do téj uczty dodaliśmy nadzwyczajny zbytek, to jest, po szklance grogu. Potém za daném hasłem, wszyscy wzięliśmy się do dalszéj pracy. O piątéj godzinie z południa, usłyszeliśmy wystrzał od przewodnika sań naszych; byliśmy w obawie, azali tułające się w około nas niedźwiedzie, na psów nie napadły. Obróciłem lunetę ku téj stronie, i przekonałem się, że niebawnie będziemy musieli zaniechać naszéj wędrówki; albowiem w odległości pół mili, lód się spękał i w rozpadlinie na kilka stóp szerokiéj, pogrążyły się psy nasze w saniach zaprzężone, które przewodnik zaledwie ocalić potrafił, przeciąwszy pasy uprzęgu, i poświęcając biédne stworzenia smutnemu ich losowi; albowiem zwierzęta te potonęły, zanim zdołaliśmy przybyć im w pomoc.

Smutny ten wypadek, wszystkich nas mocno przeraził, a obawa tém bardziéj jeszcze wzrosła, gdyśmy poczuli, iż się lód pod nami porusza. Wnieśliśmy przeto, iż cała massa lodów musi bydź w ruchu.

Douglas postrzegłszy z okrętu tę przemianę, wystrzałem nas o niéj uwiadomił.

Wkrótce przekonaliśmy się, że lody zmierzają ku zachodowi. Włożywszy do statków liny, które służyły do ich ciągnienia, i zostawiwszy dostateczną liczbę ludzi do ich kierowania, gdy po złamaniu lodów zejdą na morze, pospieszyliśmy do okrętu; zaledwie dosyć mając czasu do uprowadzenia z sobą sani, które gdyby były zatonęły razem z psami, jużby nam niepodobna było wydobyć się z téj lodowéj krainy; albowiem na nich były narzędzia nasze. Z wdzięcznością przeto ujrzeliśmy w tém zdarzeniu troskliwą rękę Opatrzności, która nas wspomogła, ocalając nad brzegiem przepaści jedynych przewodników, jakie w narzędziach nam pozostawały.

Dosięgliśmy pomyślnie okrętu, który już w kotlinie swojéj po wodzie unosić się zaczął. Szczęściem, że Douglas oczekiwał nas na pokładzie, inaczéj musielibyśmy w pław dostawać się do niego. Lody pomykały się ciągle ku zachodowi, a każda chwila groziła strzaskaniem okrętu, gdyby bryły stanowiące kanał do siebie się zbliżyły. Zaledwieśmy upłynęli pół mili, a majtkowie prawie zupełnie na siłach upadli, zostając w najcięższéj pracy przez godzin 24 bez przerwy; z niebezpieczeństwa wpadaliśmy w niebezpieczeństwo, a żadnéj pomocy niemogliśmy oczekiwać od statków, które na lodach pozostały.

Lecz Wszechmocny w każdym razie, gdyśmy już tracili nadzieję w siłach naszych, łaskawie wejrzéć na nas raczył, i boską swą pomoc nam zsyłał. Wiatr się zmienił—i skruszyły się lody z trzaskiem niepodobnym do opisania. Wówczas niezmierny ten step lodowy we wszystkich złamał się kierunkach, i tysiączne przybrał postaci.

Szczęśliwe to zdarzenie, obudziło obumarłą naszą nadzieję. Rozwinęliśmy żagle i poczęliśmy torować sobie drogę w pośród kanałów lodami zamknionych. Tymczasem statki nasze otoczone bryłami lodu, ani się poruszyć nie mogły, i w odległości czterech mil od nas pozostały; a my żadnéj im pomocy dać niebyliśmy w stanie. Szczęściem, iż po niesłychanych usiłowaniach z tego położenia wydobyć się potrafiły. Zbliżyliśmy się do nich na milę, i za pomocą kanału przybyły do nas z ludźmi. Połączywszy się na nowo, postanowiliśmy w żadnym razie więcéj się nie rozdzielać. Piętnastego Sierpnia mgła tak była gęsta i powietrze spokojne, iż pozwoliłem majtkom aby się w izbie swéj przespali. Późniéj deszcz zimny padał obficie. Po kilku godzinach najuciążliwszéj pracy, straciliśmy z oczu *Siedm wysp*, i z wielką radością ujrzeliśmy Szpicberg. Nadzwyczajnie osobliwy był widok morza usianego złomami lodów; widzieliśmy jedną massę lodu w kształcie wspaniałego sklepienia pływającą, łuk jego tak był wielki, iż szalupa z masztami pod niém przejśćby mogła. Druga wyobrażała kościół z oknami, słupami i sklepieniem; inna znowu była w postaci ogromnego stołu, okrytego tkaniną do adamaszku podobną, sutą obwiedzioną frędzlą. Posiadając trochę imaginacyi łatwo było upatrzyć zaczarowane zamki, gotyckie wieże i budowy, oraz inne przedmioty. Widok ten osobliwszy, dziwnie się przyczyniał do zmniéjszenia smutku, jaki w téj okropnéj pustyni mógłby nami zawładnąć. Przepływając około przylądka *Hacluit*, usłyszeliśmy wystrzał działowy, który po raz pierwszy w przeciągu kilkunastu miesięcy obwieścił nam, iż niebyliśmy jedynymi ludźmi istniejącymi na kuli ziemskiéj. Nazajutrz rano postrzegliśmy dwa okręta hollenderskie na połów wielorybów wysłane, i tegoż dnia wydobywszy się z otaczających nas lodów, rozwinęliśmy żagle ku przystani Smearingburgh. O godzinie 2giéj z południa przybyliśmy do zatoki północnéj, w któréjśmy zastali 4 okręta hollenderskie gotowe do wyjścia pod żagle. Od nich powzięliśmy wiadomość, iż statki angielskie opuściły te brzegi około 10 Lipca, około tegoż czasu i większa część hollenderskich odpłynęła do domu. Lecz okręta tego państwa mają wzwyczaju corocznie z kolei pozostawać przy tych brzegach tak długo, jak tylko im pora roku pozwoli, w zamiarze zabierania rozbitów rybołostwem się trudniących. To szlachetne poświęcenie się, wypełniają corocznie pięć okrętów, które obowiązane są wyprawiać czółna dla wyszukiwania nieszczęśliwych i niesienia im pomocy. Podczas takich wypraw, statki te, bardzo wiele cierpieć muszą, i nierzadko się zdarza, iż od siedmiu do ośmiu dni zostają na morzu od okrętów swych oddalone.

Ponieważ pogoda dosyć dobrze nam sprzyjała, wysiedliśmy przeto na ląd, chcąc użyć na nim przechadzki. Każdy przedmiot, jakiśmy napotykali w téj krainie spustoszenia, był zachwycającym dla nas, którzyśmy nawykli widzieć tylko morze i niebo, mgły i lody. Przylądek Hacluit jest wyspą, leżącą na północno-wschodnim krańcu Szpicberga, i może mieć około piętnastu mil (fran-

cuzkich) obwodu. Korzystając z przyjaznéj pory, wybudowaliśmy piec niewielki i napiekliśmy nieco chleba, który wielkim był dla nas przysmakiem. Następnie wysuszyliśmy liny okrętowe, utwierdziliśmy maszty, zasmolono boki okrętu i przyrządzono potrzebny zapas słodkiéj wody; w ogólności zrobiliśmy wszelkie przysposobienia do oparcia się burzom, pomiędzy 50 a 65° szerokości, panującym.

Dnia 24 Sierpnia dwa okręta hollenderskie wyszły pod żagle, ostrzegając nas, abyśmy za niemi pospieszali. Gdy ludzie nasi pracowali nad przygotowaniami do powrotu, ja tymczasem odwiedziłem miejsce zimowego naszego pobytu, i ku wielkiemu mojemu zadziwieniu, znalazłem spalone dach i słupy, któreśmy w naszém mieszkaniu zostawili. Ponieważ był to czas gnieżdżenia się tutejszego ptastwa, przeto stół nasz, obficie był niém opatrzony.

W dniu 26 tegoż miesiąca, pozostałe trzy okręta nas pożegnały; sprzedawszy nam trzy beczki piwa i barykę hollenderskich śledzi. Pomimo najusilniéjszych starań naszych nie mogliśmy wcześniéj odpłynąć, jak w pierwszych dniach następującego miesiąca; tymczasem dni się bardzo zmniéjszały i mnóstwo lodów ukazywać się zaczęło. Podwoiwszy usiłowania nasze, pierwszego Września podnieśliśmy kotwice. W powrocie naszym niesłychane musieliśmy wytrzymywać burze, które niejednokrotnie zagładą nam groziły; w końcu dnia 5 Października, zawinęliśmy do ujścia rzeki Forth cudownym prawie sposobem, albowiem okręt nasz, tak był zniszczony, i w tak wielkiéj obfitości sączyła się przezeń woda, iż dłużéj nad dobę na powierzchni morza unosićby się nie zdołał. Tak się zakończyła jedna z nadzwyczajniéjszych wypraw, które kiedykolwiek ludzie przedsiębrali.

LITERATURA.

ROZBIÓR DZIEŁA

POD TYTUŁEM:

CZĘŚCI MOWY ODMIENIAJĄCE SIĘ PRZEZ PRZYPADKI,

które napisał Feliks Żochowski i t. d.

przez T. Kurhanowicza.

(Dalszy ciąg.)

Podział zaimków. Z tego cośmy dotąd o zaimkach mówili, wynika, że wyrazy przez P. Żochowskiego do rzędu zaimków policzone (§ 297, 298 i 299) są: albo *imionami osobowemi* jakoto *ja*, *ty*, *on*, tudzież *się*; albo rzeczownikami *kto*, *co*, *nikt*, *nic*, (34); albo téż przymiotnikami służącemi do określenia rzeczowników przez wyrażenie względu *zależności*, *ukazywania* i t. p. Te ostatnie następnym rozklassyfikować się dają sposobem:

1. Przyswajające: *mój*, *twój*, 35) *swój*, *nasz*, *wasz*.
2. Pytające: *czyj*, *jaki*, *który* (nazwane pytającemi przez *znamienitość*).
3. Ukazujące: *ten*, *ów*, *tamten*. (*On* do przestarzałych należy).
4. Przeczące: *żaden*, *inny*, *nijaki*, *różny* i t. p.
5. Twierdzące: *każdy*, *taki*, *jakikolwiek*, *jednostajny* i t. p.

Do tych, ze względu na zasady przez P. Żochowskiego w teoryi zaimków przyjęte, wypadałoby jeszcze dołączyć: *wyrażające wzgląd* na czas (*wczorajszy*, *dzisiéjszy*, *nowy* i t. p.) na rozmiar (*wielki*, *mały*, *obszerny* i t. p.); tudzież *liczbowe* (*pierwszy*, *dziesiąty*, *liczny* i t. p.) i t. d.

Zakończenie. Zamykając uwagi nasze o zaimkach, jeszcze słów kilka dołączymy, z powodu prawidła na użycie wyrazu *swój*, *swoja*, *swoje* (Żoch. str. 363). Jesteśmy wprawdzie najmocniéj przekonani, że dla nauki, o którą nam idzie szczególniéj, obojętną jest rzeczą, kto ją wyłożył, aby tylko wyłożył gruntownie, dokładnie i zrozumiale Gdy jednak Grammatyka M. Jakubowicza, równie jak i wszystkie inne, w dziele P. Żochowskiego w najniekorzystniéjszém jest wysta-

(34) *Tenże sam wyraz, stosownie do swojego znaczenia, może być rozmaitą częścią mowy, cośmy już uważali przy wyrazie* co (*przyp. pod licz.* 22). *Podobnież wyraz* nic *może być nietylko rzeczownikiem ale i przysłówkiem. Gdy się mówi*: „nic się nie lękam“ *wyraz* nic, *określający słowo* nie lękam się *znaczy to samo co* „zgoła bynajmniéj *nie lękam się* (*minime timeo*); *zatém jest przysłówkiem. Gdy zaś powiemy*: „niczego się nie lękam“ *to jest*: „żadnéj rzeczy w świecie nie lękam się“ (*nihil timeo*) *wyraz* niczego *będzie rzeczownikiem rządzonym od słowa* nie lękam się.

(35) *Wiadomo, że przyswojenie można także wyrazić 2gim przypadkiem. Niemając więc oddzielnego wyrazu przyswajającego od imienia 3ciéj osoby, obchodzimy się drugim przypadkiem* jego, jéj, ich.

wiona świetle; tak dalece, że nie jeden uprzedziwszy się śmiałemi naszego autora pociskami, do rąk jéj nawet wziąść nie zechce; z drugiéj znowu strony P. Żochowski bynajmniéj przez swe dzieło nie wynagradza, skazanych przez swe *auto-da-fe* na stos książek; zatém w celu okazania źródeł, z których się we względzie grammatyki istotnie oświecić można, zniewoleni jesteśmy powiedzieć, że prawidło do wyrazu *swój* odnoszące się, które jedno w całym P. Żochowskiego rozdziale o zaimkach, za korzystne dla grammatyki uważamy, nie jest właściwą ani P. Żochowskiego, ani też, jak to Jan z Oświecimia (str. 10) utrzymuje, P. Muczkowskiego, lecz Jakubowicza; o którym słów kilka namienimy. b. Uniwersytet Wileński, przekonany o niedostateczności Grammatyki Kopczyńskiego, służącéj przez pół prawie wieku za książkę elementarną, r. 1819, ogłosił wezwanie do napisania grammatyki języka polskiego, któréj potrzeba coraz mocniéj powszechnie czuć się dawała; lecz napróżno lat kilka zadosyć uczynienia swemu wezwaniu oczekiwał. Wówczas Maxymiljan Jakubowicz znany z głębokiéj nauki i gorliwości o dobro młodzieży, któréj być przewodnikiem za chlubne poczytywał powołanie, lubo innego rodzaju pracami natenczas był zajęty (36), jednak żądane przez uniwersytet dzieło wygotować przedsięwziął, co też, stosownie do towarzyszących okoliczności, z zaszczytem wykonał (37). Jeszcze podówczas zanadto nowe były „Pierwsze zasady grammatyki języka pols: przez Mrozińskiego“ (38), ażeby z nich Jakubowicz w wykładzie najkunsztowniéjszego mechanizmu mowy polskiéj mógł korzystać; lecz w zastosowaniu pojęć grammatyki powszechnéj, rzetelne położył on zasługi. Szczególniéj zaś zaleca

(36) *Maxymiljan Jakubowicz, professor literatury starożytnéj, w Uniwersytecie Sgo Włodzimierza w Kijowie, był podówczas nauczycielem tegoż przedmiotu w gimnazyum Swisłockiém, i prawie jednocześnie z grammatyką języka polskiego, wydał też wyborną łacińską grammatykę.*

(37) *W lat dziesięć po ogłoszeniu wezwania Uniwersytetu Wileńskiego, Jan Stanisław Borodzicz na napisaną przez siebie w skutek tegoż wezwania Grammatykę, zbiérał prenumeratę w Wilnie. Lecz jego krótka grammatyka, jako próbka obszerniéjszéj, dowiodła, że Jan Stanisław Borodzicz nieszczęśliwie w obranym przez siebie zawodzie pracował.*

(38) *Pierwsze Zasady Grammatyki Języka Polskiego przez Mrozińskiego drukowane były r.* 1822, *a pierwsze wydanie grammatyki Jakubowicza wyszło r.* 1823. *Jak zaś jest trudno reformować w sobie pojęcia, do których się nawykło, najlepszy nam tego dowód przedstawiają nowsi pisarze, wybornych z kądinąd łacińsko-polskich słowników Floryjan Bob. wski i kanonik Czerski. Jakoż wiadomą jest rzeczą, że we wszystkich europejskich językach za lexykograficzną temę słów bierze się tryb bezokoliczny. W słowiańskich zaś językach nawet w żaden sposób nie można brać za temę słów czasu teraźniéjszego trybu oznajmującego, bo słowa dokonane, tego czasu nie mają. Prócz tego Kopczyński w swojéj łacińsko-polskiéj grammatyce (tudzież autor słowniczka źródłosłowego łacińsko-polskiego, który za czasów jeszcze Kommissyi edukacyjnéj w Wilnie był drukowany), utorował drogę do żądanéj w temie słów zmiany w lexykonie Knapskiego i wynikłych z niego, tak zwanych połockich słowniczkach. Nakoniec w b. Wileńskim Uniwersytecie, wieloletni wykład zasad grammatyki i lexykografii powszechnéj, w kursie Encyklopedii filologicznéj przez Europejskiéj sławy Męża G. E. Groddeck, (z czego się późniéj utworzyła oddzielna katedra powszechnéj grammatyki, zajmowana przez drogiego sercom uczniów professora literatury L. Borowskiego), powinien był oddawna zwrócić uwagę na sprostowanie lexykograficznych wyobrażeń. A jednak mimo to wszystko wspomnieni słowników pisarze, w Wilnie drukując swe dzieła, woleli najbardziéj bijącą w oczy niedorzeczność popełnić, tłumacząc czas teraźniéjszy słów łacińskich przez tryb bezokoliczny słów polskich (np. lego czytać, scribo pisać!) niż przeciw upowszechnionemu wiekami zwyczajowi i słowa łacińskie wziąść w trybie bezokolicznym. Jakiego chaosu, ta na pozór drobna okoliczność, w głowie uczniów używających słownika X. Bobrowskiego lub K. Czerskiego, jest przyczyną, ten tylko osądzić może, kto miał zręczność podobnym uczniom z bliska się przypatrzyć. Przy takim stanie rzeczy, dziwić się przestaniemy, że odważającego się stosownie do natury rzeczy, wyrazy polskie na ąc i szy zakończone, poczytać za przysłówki, o szkodliwe obwiniono nowatorstwo. Obrońcy przedawniałych wyobrażeń woleliby zapewne aby im ktokolwiek, nie łatwe z siebie do wytłumaczenia Kopczyń-*

Grammatykę Jakubowicza nowa klassyfikacyja wyrazów, która jeśli w szczegółach gdzieniegdzie sprostowania i dopełnień potrzebuje, w ogólności jednak jest głęboko pomyślana i do natury mowy ludzkiéj tak dalece zastosowana, że pod tym względem Jakubowicz zasługuje na imię reformatora grammatyki języka polskiego; co się tycze składni, on pierwszy, jéj węgielny kamień założył; wykład zaś teoryi zaimków, jest jednym z tych, które najwięcéj ceny pracy uczonego męża nadają. Rozdział o zaimkach dosłównie, lecz z nakręceniem do dawniéjszego o téj części mowy pojęcia, został przeniesiony do Grammatyki Muczkowskiego, o czém najłatwiéj jest przekonać się, porównywając kilka przynajmniéj wierszy z pierwszego wydania tak grammatyki Jakubowicza, jako też Muczkowskiego.

Jakubowicz, str. 116 (r. 1823).

„Zaimki *przeto* nie na to są potrzebne, „aby zastępowały miejsce imion..... ale mają „sobie tylko służące i szczególne znaczenie „do zrozumiałości mowy potrzebne, które„go żadne imię wyrazić nie może. Jakoż „gdy powiem: *napiszę do ciebie*, *napisz do „mnie*, *twój ogród*, *mój dom* i t. d.“

Muczkowski §. 118 (r. 1825).

„1. Zaimki *nietylko* na to są potrzebne, „aby zastępowały miejsce imion, ale *nadto* „mają sobie tylko właściwe znaczenie do „zrozumiałości mowy potrzebne, którego „żadne imię wyrazić nie może, gdybyśmy „np. w tych zdaniach: *napiszę do ciebie*, *na„pisz do mnie*, *twój ogród*, *mój dom* i t. d.“

(*Dokończenie nastąpi.*)

WIELKOPASZCZ (*Procnias*).

Liczny rodzaj ptastwa zwany Szkarłatówką (Cotinga) od niektórych naturalistów podzielony został na mniejsze oddziały, zwane podrodzajami, w innych zaś, poddziały te, stanowią całkowicie osóbne rodzaje. Jednym z nich jest *Wielkopaszcz (procnias)*, do którego należy gatunek na rycinie naszéj przedstawiony, zwany *wielkopaszcz z narostem* (p. carunculata). Ptak ten, może służyć za dowód, jak wiele jeszcze w nauce przyrodzenia pozostaje przedmiotów do poznania, i jak nauka ta daleką jest jeszcze w szczegółach swoich od ostatecznego jéj zakresu. Postąpiła ona już wprawdzie tak daleko, iż w Europie nie znajdziemy prawie kamyka, drobniutkiéj trawki lub zaledwie dojrzanego chrząszczyka, któregobyśmy o jego nazwanie dopytać się nie mogli, a zatém, któryby już nie był od kogo opisany; tymczasem pierworodne lasy północy i rozległe stepy południa, zawiérają jeszcze wiele takich stworzeń, a szczególniéj organicznych, których przymioty gruba mgła tajemniczości dotąd jeszcze okrywa i o których bycie, sami uczeni nawet powątpiéwać mogą; albowiem istoty te, tak dziwnemi są obdarzone własnościami, że badawczy rozsądek, nie wprzódy w je uwierzyć może, aż nim o prawdziwości ich istnienia naocznie przekonać się potrafi. Ptaki Ameryki południowéj a mianowicie Brazylii, Paraguaju i Chili należą do tego rzędu, a w ich szeregu pomieścić można ptaka, o którym mówimy. W opisaniu jego odwołamy się do Wilsona, który oznaczywszy dokładnie ten rodzaj ptastwa, wszelkie powątpiewania o istnieniu w mowie będącego gatunku usunął.

Ptak ten, mieszkańcem jest Ameryki południowéj; krajowcy zowią go *Dara*, hiszpanie *Campanero*, a mieszkańcy północnéj Ameryki i Anglicy, nazywają go *Bell-bird*. Samiec dorosły jest doskonale biały, prawie jak śnieg świeżo spadły; długością stopy dochodzi, nogi ma krótkie czarne, a dziób takiegoż koloru długi jest na 18 a szeroki przy nasadzie na 7 linij; lecz w budowie tego ptaka właściwą jemu tylko osobliwość stanowi, szczególny na głowie narost muskularny, kształtu robakowatego, pokryty rzadkiemi kupkami drobnych piórek, przeszło dwa cale długi. Narost ten w stanie spokojnym zwierzęcia pomarszczony, spada mu na skronie; lecz gdy ptak jest rozdrażniony, albo gdy go jaka ożywi namiętność, wówczas prosto nakształt rogu z czoła się podnosi, tak właśnie, jak go załączona przedstawia rycina. Co się tyczy organizmu za pomocą którego odbywa się to działanie, to zdania w téj mierze rozmaitych badaczów różnią się pomiędzy sobą: i tak Gueneau i Montbeillard utrzymywali, że ten narost wewnątrz jest próżny i za pomocą otworu z podniebieniem złączony, a następnie, że się

---

skiego imiesłówy osobliwe (!) objaśniał przez modi transgressivi, które przed kilku wiekami Rosa do języka Czeskiego stosował, niż dozwolić je odnieść do przysłówków, chociaż nas do tego i natura tych wyrazów i ich składnia prowadzi.



WIELKOPASZCZ Z NAROSTEM (Procnias Carunculata.)

według woli ptaka samém powietrzem wypełniać i nadymać może, lecz Le Vaillant nie znalazłszy tego otworu, wnosi, iż sama tylko siła muskularna podnoszenia się jego jest przyczyną. Drugą tego ptaka osobliwość, stanowi głos jego donośny, który o pół mili słyszeć się daje, i do dźwięku dzwonu jest podobny. Gdy wędrownik przebywa te nie objęte pustynie, rozlegający się głos ptaka pomimowolnie przywodzi mu na myśl strzeleckie baśnie, które od piastunek słyszał w młodości, o owych tajemniczych myśliwych goniących zwierzynę w północnéj chwili, kiedy nietylko głos żyjącego stworzenia, lecz nawet szmer liścia, uroczystéj ciszy przyrodzenia naruszyć się nieodważy; lub też nieznane te głosy przypomną mu dźwięki cudownéj arfy Eola. Lecz zbliżywszy się do suchszego miejsca w pośród bagien, zalegających tę krainę, znikną jego marzenia z widokiem ptaka, który te miejsca zamieszkuje.

Samica jego jest oliwkowo-zielona i biało upstrzona, bez rzeczonego narostu. Gnieździć się mają w Surynamie na wierzchołkach drzew wyniosłych.

w WARSZAWIE, NAKŁADEM I DRUKIEM JANA GLÜCKSBERGA, PRZY ULICY MIODOWEJ Nr. 482.